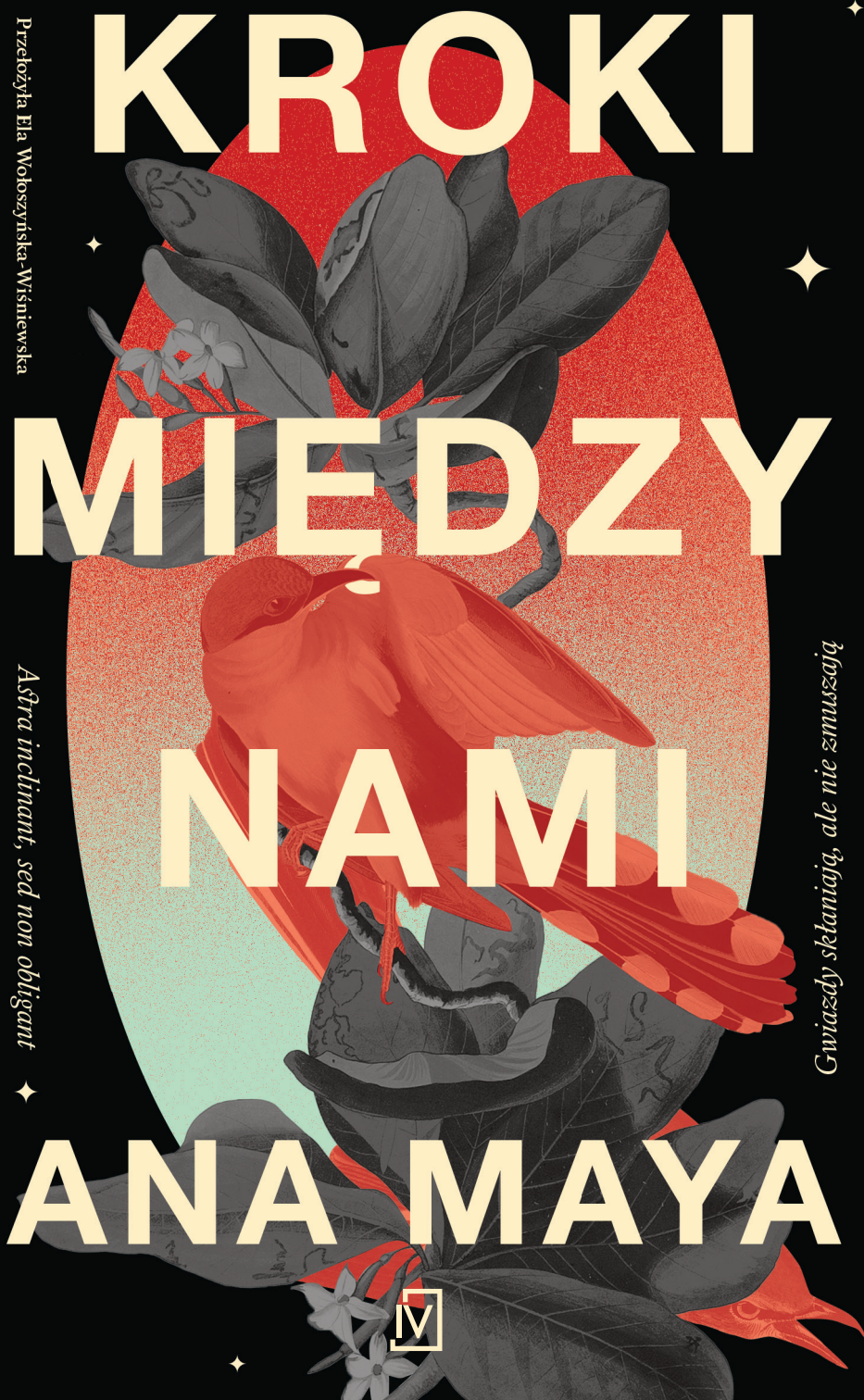


Przetłoczyła Ela Wołoszyńska-Wisniewska

Astra inclinant, sed non obligant

Gwiazdy skłaniają, ale nie zmuszają



**KROKI
MIĘDZY
NAMI**

KROKI MIĘDZY NAMI

Przełożyła Ela Wołoszyńska-Wisniewska

ANA MAYA

Tytuł oryginału: *The Steps Between Us*

Copyright © 2025 by Ana Maya

Copyright © for the Polish translation by Ela Wołoszyńska-
-Wiśniewska, 2025

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2025

Redaktorka inicjująca: Paulina Surniak

Marketing i promocja: Karolina Guzik

Redakcja: Remigiusz Biały

Korekta: Magdalena Białek, Sandra Popławska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Justyna Nowaczyk

Projekt okładki i strony tytułowe: Tomasz Majewski

Fotografie na okładce: Boston Public Library | Unsplash
Boston Public Library | Unsplash

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

ISBN 978-83-68479-95-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Dla JPBP.

Nasze życia nie mogłyby się bardziej od siebie różnić.
A jednak codziennie, w każdej minucie myślę o Tobie
i zastanawiam się, ile kroków nas dzieli.

Jest to dzieło fikcyjne. Imiona, postacie, miejsca i zdarzenia albo są wytworem wyobraźni autorki, albo zostały użyte na potrzeby fikcji literackiej, a wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych lub martwych, instytucji biznesowych, wydarzeń lub miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Jeśli chodzi o pieniądze, wiąże się z nimi pewne wyzwanie – nie są lekkie. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów w banknotach po sto waży pół kilograma, więc pół miliona dolarów to jakieś dodatkowe pięć kilo do twojego bagażu. Przestałam już liczyć, ile plików mam jeszcze spakować do walizki.

Głos Katharine Hepburn sączył się z telewizora: „Zaczynam czuć, że zdecydowanie coś jest ze mną nie tak”. Towarzyzyło mi dokładnie to samo odczucie i nigdy nie miałam co do niego wątpliwości.

Był ostatni dzień czerwca dwa tysiące piątego roku, a w telewizji leciało *Obcym wstęp wzbroniony* – jeden z tych komediodramatów z lat trzydziestych z eleganckimi paniami. Mogłam w kółko słuchać dialogów bez patrzenia na ekran, bo ruchy aktorów znałam na pamięć. Prześwitujące jedwabne zasłony w kolorze ametystu wirowały na wietrze w otwartym oknie francuskim. Powietrze na zewnątrz miało świeży zapach konwalii.

Mój pokój znajdował się na najwyższym piętrze domu położonego na rzecznej wyspie, w południowo-wschodniej Europie,

w kraju, który w ciągu ostatnich stuleci tak wiele razy zmieniał swoją wielkość i nazwę, że ostatecznie zatraciła ona swoje pierwotne znaczenie. Podobnie ludzie stracili swoją tożsamość, a świat podniósł poziom swojego szaleństwa o oktawę.

Za dwie godziny odbędzie się kolejny nalot policji i do tego czasu walizka z pieniędzmi musi zniknąć. Cynk przyszedł od jednego z naszych informatorów pracujących w policji.

Nawet duży wiejski dom – a w rzeczywistości zakamuflovana nowoczesna forteca obstawiona ludźmi z bronią oraz kamerami – miał drzwi, które w odpowiednich warunkach mogły zostać otwarte. Nasz dom był taką fortecą, otoczoną od frontu wierzbami i cyprysami bagiennymi, których szpalery rozciągały się w nieskończoność w obydwu kierunkach wzdłuż brzegu rzeki.

Zarówno dom, jak i wyspę nazywano Salice, co po włosku znaczy wierzba. Botanik, który badał tutejsze rośliny i glebę, zanim kupiliśmy tę ziemię, zawsze mówił o drzewach, używając ich łacińskich nazw: *Salice nero* i *Salice bianco*, i tak już zostało. Teren ten był też znany jako Znikająca Wyspa, bo nie można było zobaczyć jej z lądu, gdy zimą nad rzeką podnosiła się gęsta, nieprzenikniona mgła.

Balisto ich wyczuł. Jego spiczaste uszy wychwyciły głośne odgłosy na kilka minut przed otwarciem ciężkiej stalowej bramy.

Najpierw pojawił się hałas, a potem pojazdy: samochody oraz furgonetki z syrenami i megafonami, a nawet helikopter, którego ogromne śmigła rozrzucały wokół kurz, żwir i trawę. Wkrótce zaczęli się z tych pojazdów wysypywać mężczyźni w mundurach, przywodzili na myśl zastępy chórzystów w musicalu z West Endu. Przez lata nauczyliśmy się ich

odróżniać po kolorach wyposażenia taktycznego: matowo niebieskie zarezerwowano dla regularnych oddziałów, węglowo-szare dla specjalnych, czarne dla tajniaków. Za to mężczyźni w nieskazitelnie białych mundurach z medalami na piersiach byli zazwyczaj najwolniejsi i przybywali ostatni w swoich luksusowych limuzynach. Jednocześnie opanowaliśmy sztukę niezwracania uwagi na stroje służb porządkowych – wszyscy byli częścią tego samego przedstawienia kukielkowego.

Mogłam zostać w domu, a nawet chodzić za nimi krok w krok, wiedząc, że ich poszukiwania nie mają sensu. Wszystko, co robili, to deptanie brudnymi butami po naszych rustykalnych drewnianych podłogach, dotykane i otwieranie wszystkiego, co miało klamkę, wypychanie rąk do naszych szuflad, szafek i garderób – dotykane, wyczuwane, udawanie, że szukają, a jednocześnie rzucanie naszymi rzeczami wszędzie dookoła. Chodziło o to, aby pokazać, kto stoi za tą fikcyjną operacją przeszukania, poprzez zostawienie oficjalnego potwierdzenia, na przykład w postaci bałaganu.

Nasz prawnik stał na dole, w dużym holu, gdzie sprawdził nakaz rewizji, który widział już dzień wcześniej, i wyrażał w imieniu swojego klienta zdziwienie oraz sprzeciw. Jego głos odbijał się echem po całym ogromnym domu. Kolejna kukielka, ale przynajmniej to my mu płaciliśmy. Nasi ludzie byli w stanie najwyższej gotowości. Nie dlatego, że przewidywali jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, ale dlatego, że musieli być gotowi na wszystko, co mogło się wydarzyć.

Stałam u szczytu schodów, obserwując zamieszanie na dole. Gdyby ktokolwiek spojrział do góry, zobaczyłby młodą kobietę tuż po trzydziestce, o zupełnie zwyczajnym i przeciętnym

wygładzie, trzymającą książkę i papierosnicę. Ani eteryczną, ani diabelnie atrakcyjną, plasującą się gdzieś pomiędzy. Nic we mnie się nie wyróżniało ani nie było oszałamiające, poza ostrym kontrastem między moją bladą cerą, blond włosami o mysim odcieniu i czarnymi ubraniami, które zawsze nosiłam: topami oraz spodniami capri z krótkim rozcięciem po zewnętrznej stronie nogawki. Uwielbiałam proste, bezpretensjonalne ubrania. Noszenie czerni było jak otulenie się ciemnością, ukrycie przed światem.

Zesłam na dół, zastanawiając się, dokąd pójść, aby poczytać książkę. Wcześniej upewniłam się, że mój synek Charlie jest ze swoją nianią w ogrodzie kwiatowym za domem.

Balisto siedział teraz przed drzwiami wejściowymi i przechylał swój idealnie wyrzeźbiony łeb z jednej strony na drugą, jakby liczył wszystkich ludzi na trawniku przed domem. Był owczarkiem niemieckim, nazwanym na cześć czekoladowego batonika – miał złocistomiedziany pysk, silną szczękę i czarne ubarwienie w kształcie siodła na grzbiecie, rozciągające się od szyi do ogona. Wkrótce znudził mu się ten gwar i z chrząknięciem wyrażającym niezadowolenie opadł na podłogę, opierając brodę na zimnym marmurze. Był rasowym psem, wyszkolonym do pilnowania mnie, ale z czasem stracił zainteresowanie czymkolwiek poza gonieniem wiewiórek i ptaków, podjadaniem oraz graniem w naszą ulubioną grę: chowanego.

– *Mitkommen* – powiedziałam. – Chodź ze mną. – Wycho-
dząc na zewnątrz, klepnęłam dłonią o lewe biodro.

Miałam iść na spacer, ale zmieniłam zdanie i usiadłam na huśtawce. Była przymocowana do grubej gałęzi starego dębu, na którym wybudowaliśmy mały drewniany domek, rzadko

kiedy wykorzystywany przez ludzi. Korzystały z niego wspólnie pająki i robaki.

Balisto mi towarzyszył. Położył się pod drzewem, wykorzystując jego głęboki cień jako tymczasową oazę. Wiatr przychodził do nas falami – niewyczuwalny w jednej chwili, w drugiej wiał mocno, szeleszcząc liśćmi na gałęziach i rozrzucając płatki kwiatów z drzew wiśniowych. Zdjęłam balerinki – niebieskie z odcieniem fioletu, zrobione ze skóry krokodyla – i odrzuciłam je na bok. Postawiłam jedną stopę na huśtawce, a drugą zaczęłam się odpychać. Wtedy zobaczyłam, jak kolejny samochód wjeżdża na zwirowy podjazd. To był stary mercedes-benz klasy S, wielki jak czołg. Nie dość, że miał najbrzydszy brązowy kolor, jaki kiedykolwiek widziałam – przywodził na myśl odcień przypalonych papryczek jalapeño i papryczek chili – to dodatkowo jego silnik Diesla wydawał głośny, wibrujący odgłos, synchronizujący się z turkotem helikoptera nad naszymi głowami, a nawet przytłaczający go głośnością. Balisto zakrył pysk swoją ogromną łapą, mrugając nerwowo. Hałas go drażnił. Helikopter wzbił się w powietrze, by wykonać kolejne okrążenie wokół wyspy, jakby również był zaniepokojony rykiem pojazdu.

Samochód się zatrzymał. Prawdopodobnie kierowca zastanawiał się, gdzie zaparkować, a ponieważ nigdzie nie było wolnego miejsca, nie ruszał się, blokując dojazd do bramy. Poczułam ulgę w uszach, kiedy wyłączono warczący silnik. Drzwi auta się otworzyły i wysiadł z niego wysoki mężczyzna – nie miał na sobie munduru, lecz džinsy i oliwkowozieloną kamizelkę kuloodporną nałożoną na żółty T-shirt. Zastanawiałam się, czy się spodziewał, że ktoś będzie do niego strzelać.

Kiedy głównym biznesem twojej rodziny jest działalność przestępcza, są tylko dwie rzeczy groźniejsze od więzienia lub śmierci. Pierwszą jest porwanie, a drugą – zaskoczenie. Oznaczało to, że albo potrzebowaliśmy więcej informatorów, albo ci, których zatrudnialiśmy, nie wykonywali swojej pracy. Ten niezidentyfikowany mężczyzna mógł się tu znaleźć, tylko jeśli został sprawdzony przez kogoś z rodziny.

Zwykle jestem dość leniwa, jeśli chodzi o odczytywanie pierwszego wrażenia, więc przeważnie zostawiam to sobie na później. Coś w tym mężczyźnie przykuło jednak moją uwagę. Zdawało się, że jest nie na miejscu. Jakby wyszedł z jakiegoś niskobudżetowego telewizyjnego serialu kryminalnego i przywędrował do naszej posiadłości w poszukiwaniu wskazówek do dalszej gry.

Miał niechlujny wygląd, który zwyczajnie nie pasował do tego miejsca. Wyglądał, jakby właśnie wstał z łóżka. Zmrużyłam oczy, aby wyostrzyć sobie obraz. Jego włosy były ciemnobrązowe, krótko przycięte, ale jednocześnie niesforne; wąsy za to, o dziwo, ułożone i kontrastujące z nieuporządkowaną, szczeciniastą brodą. Na dodatek – to było jak wisienka na torcie – nosił lustrzane okulary przeciwsłoneczne z grubymi złotymi oprawkami. Mężczyzna złapał brązową skórzaną kurtkę z tylnego siedzenia i zarzucił ją na ramię. Zaczął skanować teren, decydując, w którą stronę pójść, aż zobaczył mnie na huśtawce i skierował się w moją stronę. Nie wydawał się przejmować obecnością policjantów. Ignorował ich, gdy przechodził obok.

Balisto podniósł łeb z trawy, bo uruchomił mu się instynkt. Zrobił to jednak tylko po to, aby dwie sekundy później zdecydować, że nie ma bezpośredniego zagrożenia ze strony

nieznajomego. Może to było tylko psie złudzenie. Bardziej prawdopodobne, że Balisto nie wyczuł niczego do zjedzenia i doszedł do wniosku, że mężczyzna nie jest wart zachodu.

Im bliżej gość podchodził, tym wyraźniej wzrastało mi tętno w przyływie ciekawości. Wiedziałam, że nigdy go nie spotkałam, a jednak uczucie, że go znam – choć nielogiczne – było zbyt silne, abym mogła je zignorować.

Czułam, że mężczyzna patrzy na mnie przez odbijające światło szkła okularów przeciwsłonecznych. Zostałam na huśtawce, moja intuicja podpowiadała mi to samo co intuicja Balista – mężczyzna nie był wrogo nastawiony. Nieznajomy podszedł, uśmiechając się, i zdjął okulary. Miał mocne brwi i dominujący orli nos. Gdy oświetliły go promienie słońca, jego źrenice całkowicie zniknęły w mroku oczu tak ciemnobrązowych, że wydawały się prawie czarne. Zapraszały do wpatrywania się w nie. I wpatrywałam się. Jak kotek zahipnotyzowany zwisającą przed nim zmiętą kartką związaną sznurkiem.



Dziesięć lat później, gdy przygotowano go do występowania przed kamerami i w mediach, wyglądał jak ulizany frajer – ubrany w drogie wełniane lub jedwabne garnitury marki Brioni oraz buty Archie z Jermyn Street w Londynie, z włosami zaczesanymi do tyłu, ogoloną brodą i przerzedzonymi, wystylizowanymi wąsami, a także w odważnych kwadratowych okularach z czarnymi

oprawkami spoczywających na nosie. Ale gdy zobaczyłam go po raz pierwszy, jego wygląd przyciągał z więcej niż jednego powodu.



Zapytał, czy mówię po angielsku. Pokiwałam głową, przytakując.

– Mieszka tu pani? – Miał przyjemny głos, idealnie pasujący do tej popołudniowej pory, głęboki i chrapliwy, z delikatnym pogłosem. Wyczułam mieszkankę akcentów z dominacją amerykańskiego oraz lekką nutą hiszpańskiego.

Ponownie skinęłam głową z nadzieją, że nie przestanie mówić.

– Nie mogłem się powstrzymać, gdy zobaczyłem, że patrzy pani w moją stronę – kontynuował, jakby tłumacząc się, dlaczego podszedł.

Udawałam, że go ignoruję, więc mówił dalej:

– Jestem tu pierwszy raz. Wieki mi zajęło odnalezienie tego miejsca, choć jest tak ogromne, że nie da się go przegapić, jeśli wie pani, o czym mówię. A pani stąd pochodzi?

Szeroki, bezczelny uśmiech zwieńczył ostatnie zdanie. Mężczyzna spojrzał z ciekawością, ale i ostrożnością na zapałającego właśnie w sen Balista. Wydawał się niepewny, czy bezpiecznie będzie go pogłaskać.

Kiedy nie wiedziałam, co powiedzieć, jednym z moich irytujących zwyczajów było odpowiadanie pytaniem na pytanie,

co odsuwało rozmowę od jakichkolwiek osobistych czy niewygodnych tematów.

– A kogo pan szuka? – Chciałam sprawiać wrażenie zainteresowanej.

Lekko uniósł brew, gdy usłyszał moją nienaganną angielską wymowę, jakbym była tylko jego współpasażerką, która wsiadła do tego samego pociągu i wylądowała w tym miejscu.

– Sądzę, że szefa. – Wyjął z kieszeni spodni niewielki skrawek żółtego papieru i obrócił w moją stronę, bym mogła odczytać imię. – Maksymilian Moler. Zna go pani?

Wskazałam na drzwi domu i powiedziałam, by szukał tysego adwokata w granatowym garniturze, a ten pomoże mu znaleźć mężczyznę, którego szuka.

– A na imię ma Maks – dodałam. – Pisane przez „ks”.

Ale mężczyzna nie odszedł, nadal stał w tym samym miejscu, jakby chciał mi dotrzymać towarzystwa. Zastanawiał się, co jeszcze powiedzieć.

– Co pani sądzi o aucie? – Wskazał w kierunku zaparkowanego brązowego potwora.

Oczarowała mnie bezpretensjonalna niezdarność tego pytania – nieznajomy po prostu próbował podtrzymać rozmowę.

– Mogę być szczerą?

Zaśmiał się, a wokół jego oczu pojawiły się małe linie, niewyraźnie ślady kurzych łapek.

– Rzadko spotykam piękne kobiety, których cnotą jest szczerść. Proszę, śmiało. Zniosę to. – Gdy obdarzył mnie kolejnym uśmiechem, w jego policzkach pojawiły się dołeczki.

Czułam, że moje zaczynają płonąć.

– Odgłos twojego auta jest imponujący – skłamałam, odpychając się stopą, aby rozbijać huśtawkę.

Balisto zaczął zamiatać swoim puchatym ogonem w lewo i w prawo, dając nam do zrozumienia, abyśmy zakończyli tę bezsensowną rozmowę i pozwolili mu spać.

– To właściwie nie jest mój samochód. Pożyczyłem go. Więc ten hałas też jest jakby... pożyczony.

Mężczyzna przeszukiwał wewnętrzne kieszenie kurtki, aż znalazł paczkę czerwonych marlboro i zaproponował mi jednego. Potrząsnęłam przecząco głową. Nigdy nie akceptowałam częstowania mnie papierosami.

– Czy to zapalniczka? Mogę? – Wskazał na małe czarne pudełko na mojej książce i papierośnicę leżącą na ziemi.

To rzeczywiście była moja zapalniczka: klasyczna, w stylu art déco, wykonana z czarnej emalii i zdobiona diamentami przez Cartiera w Paryżu. Była to jedyna cenna rzecz, którą przy sobie nosiłam.

Skinęłam głową. Przykucnął i wziął ją, odczytując jednocześnie angielski tytuł książki. Prawdopodobnie go rozpoznał, ale nie skomentował.

– Co symbolizuje „A”? – zapytał, gdy zobaczył literę wygrawerowaną na zapalniczce.

– Moje imię.

To był dla mnie znak, by zatrzymać huśtawkę i wrócić do domu. Wzięłam z jego ręki ogień, zostawiłam książkę, papierośnicę oraz buty i odeszłam bez oglądania się za siebie, bez żadnych wyjaśnień czy słowa. Wyjawienie mu mojego imienia oznaczało zbyt szybkie nawiązanie znajomości, a ja nie miałam ochoty się przedstawiać. Ludzie zwykle zmieniają nastawienie, gdy dowiadują się, że Maks jest moim ojcem.

Balisto mnie odprowadził, zirytowany, że znów zmieniam miejsce. Gdy jednak oboje znaleźliśmy się już w domu, pies

wyciągnął się na podłozie w holu, by schłodzić swoje kasztanowe futro. Przeskoczyłam nad nim i szybko poszłam do biblioteki, której okna wychodziły na dąb z huśtawką. To była prawdziwa biblioteka, jej ściany były zastawione książkami od podłogi po sufit.

Po jednej stronie pokoju, za masywnym stołem wykonanym z brazylijskiego palisandru znajdowały się klasyczne powieści kryminalne należące do Maksa. Zbierał je od młodszych lat. Były tam skarbnice pełne tajemnic i kryminalnych zagadek, książki Ellery Queen w twardych oprawach, antologie zbrodni, zbiory kryminałów, opowieści o morderstwach, arcydzieła wśród thrillerów... Na regale na przeciwległej ścianie stały słowniki, od języka łacińskiego po rosyjski, encyklopedie wyjaśniające znaczenie symboli, opisujące religie świata czy ruchy artystyczne. Oprócz tego różnorakie tezaury i nieskończona liczba biografii malarzy, pisarzy czy aktorów. Następne były książki medyczne – nie tylko podręczniki, ale także encyklopedie i atlasy anatomiczne, słowniki terminów medycznych, a nawet czasopisma, przechowywane w specjalnych zielonych skórzanych etui z wygrawerowanymi etykietami. Ostatnia ściana zawierała całą klasykę, od Dantego Alighieri po Stefana Zweiga. Luksusowe wydania w twardych okładkach, często w oryginalnych językach, wszystkie wolne od kurzu i uporządkowane alfabetycznie.

Był to mój ulubiony pokój ze względu na duże wysłużone skórzane fotele w odcieniu tymiankowego miodu, przykryte kolorowymi, miękkimi narzutami, ręcznie robionymi przez Māe (należy czytać jako „Mai”) – tak nazywałam moją matkę. W tych fotelach spędziłam wiele dni i nocy na lekturze, siedząc

bokiem, z nogami zwieszonymi przez masywny podłokietnik i głową idealnie wpasowaną w górny róg siedziska. Podczas chłodnych miesięcy pokój był ogrzewany przez ogromny kominek, w którym palono drewnem. Teraz wyglądał na opuszczony, jak pusta scena teatralna. Zamknęłam drzwi i na palcach podeszłam do jednego z okien. Schowałam się za błyszczącymi brokatowymi zasłonami, ale i tak co chwilę zza nich zerkalam. W bibliotece panowała absolutna cisza.



W szkole byłam kiepska z matematyki. Kiepska z przedmiotów ścisłych. Czytałam tylko te powieści, które sama wybrałam, a nie te, które mi narzucano. Nienawidziłam analizować literatury. Nienawidziłam, gdy mnie pytano: „Co autor próbuje nam powiedzieć?”. Nienawidziłam zapamiętywania dat, wydarzeń, bitew. Historia była interesująca, gdy układała się w opowieść, ale poza tym mnie nudziła. Nienawidziłam też pisać esejów. Ale otrzymałam dar przyswajania języków, więc przed ukończeniem dwunastego roku życia oprócz mojego ojczystego języka (który dwadzieścia lat temu nazywano serbsko-chorwackim, zanim jego nazwa przestała istnieć) władałam biegle angielskim, hiszpańskim, włoskim i niemieckim. Francuskim nie. To było chyba niezgodne z moją grupą krwi. Ich nauka przychodziła mi naturalnie. Byłam językowym kameleonem – często powielałam własną osobowość, kreując nową, w zależności od tego, jakim językiem mówiłam. Kiedy byłam małą dziewczynką, ćwiczyłam różne języki w rozmowach z lalkami, tak jak

robią to dziewczynki podczas zabawy. Z wiekiem lalki zniknęły, ale naśladowane akcenty pozostały.



Przybysz stał w tym samym miejscu, spokojnie paląc papierosa i obserwując dom, wciąż przychodzących i odchodzących policjantów, a nawet płatki kwiatów bez ustanku tańczące w powietrzu. Wiem, że zachowywałam się niedojrzale, ale to tylko dlatego, że nie chciałam, aby nasza krótka i niespodziewana wymiana zdań okazała się iluzją, jakimś rodzajem oszukiwania samej siebie, czymś, co nigdy nie miało miejsca. Dlatego stałam jeszcze chwilę przy oknie, upewniając się, że mężczyzna jest prawdziwy. To nie czarujące słówka czy beczelność jego uśmiechu mnie zaintrygowały, lecz całkowity brak problemów i niebezpieczeństw, który odczuwałam w jego obecności.

Choć nasze pierwsze spotkanie było niezapomniane, nie rozmawialiśmy ponownie tego popołudnia. Jednak uważnie obserwowałam jego ruchy.

Kiedy skończył palić, wszedł do domu. Otworzyłam cicho drzwi i nieśmiało spojrzałam w głąb korytarza. Gość porozmawiał krótko z naszym prawnikiem, a następnie został przez niego odprowadzony do biura Maksa.

Balisto, wciąż udający martwego, sfrustrowany tak dużą liczbą ludzi panoszących się po posiadłości, wstał i poszedł za mężczyznami, co było o tyle dziwne, że pies nigdy nie doceniał nieznanym sobie osób ani się nimi nie opiekował... Chyba że mu to nakazano.

Gruba ściana, która łączyła sypialnię Maksa z jego biurem, była w rzeczywistości zamaskowaną szafą z ukrytymi po obu stronach drzwiami pokrytymi dla niepoznaki witrażami. Każdy, kto znajdował się w którymkolwiek z pokoi, podziwiał abstrakcyjne rysunki na szkle, nieświadomy, że ktoś może być po drugiej stronie i go obserwować.



Kiedy Maks kupił ziemię i rozpoczął budowę domu, poprosił, aby nie zawracać mu głowy architekturą, układem pomieszczeń, dekoracją wewnątrz czy meblami – niczym poza jego biurem. Mãe była odpowiedzialna za projekt domu. Zatrudniła do tego lokalnych architektów i pracowała z nimi od pewnej wietrznej jesieni do następnej kwitnącej wiosny. Wspólnie wpadli na pomysł, aby w ścianach ukryć szafy, które mogły być przydatne do chowania różnych rzeczy. Albo ludzi. Zamaskowane drzwi przesuwne, które miały zaledwie pół metra wysokości, były zasilane elektrycznie i otwierały się za pomocą małego pilota. Tylko ja i Mãe znałyśmy dokładną lokalizację wejść. I tylko pies i ja wiedzieliśmy, jak wsunąć się do szafy.



Nim weszłam do szafy i zaczęłam ich obserwować, zdążyli się już przywitać i sobie przedstawić. Nieznajomy siedział wtulony

w czarny skórzany fotel, naprzeciwko biurka Maksa, z zawsze wiernym Balistem drzemiącym obok jego stóp. Nie mogłam usłyszeć rozmowy, którą prowadzili, więc delikatnie pociągnęłam jedną z półek do siebie, a znajdujący się za nią mechanizm sprawił, że otworzyła się niewielka przestrzeń między ścianą a witrażowymi panelami naprzeciwko biura. Teraz mogłam usłyszeć, co mówią. Mężczyzna intensywnie gestykulował podczas rozmowy, jakby rękami rysował w powietrzu niewidzialne geometryczne kształty.

Ktoś zapukał do drzwi i do biura weszła Palmira, nasza gosposia (oraz głównodowodząca), pchając wózek z dwiema szklankami i wysokim kryształowym dzbankiem wypełnionym domową lemoniadą jeżynową. Podczas gdy nalewała karmazynowy płyn, bombardowała nieznajomego pytaniami po hiszpańsku. Maks siedział za swoim masywnym biurkiem, nie ingerując i czekając cierpliwie, aż Palmira skończy nalewać lemoniadę i wyjdzie.

Najlepiej opisać Maksa stwierdzeniem, że wyglądał jak redaktor gazety z lat pięćdziesiątych: wysoki, muskularny mężczyzna, noszący nienagannie wyprasowane koszule, luźne krawaty i kamizelki garniturowe, nigdy marynarki. Rękawy jego koszul zawsze były podwinięte. Twarz miał smukłą, zdominowaną przez duże orzechowe oczy, łukowate brwi oraz dwuogniskowe okulary, które miały skłonność do zsuwania się z nosa. Jego włosy były zawsze profesjonalnie ścięte na krótko i z przedziałkiem na czubku głowy.

Biurko Maksa stanowiło jego ostatnią deskę ratunku. Było pokryte folderami, notatnikami, wydrukowanymi raportami, artykułami prasowymi, międzynarodowymi magazynami, fiszkami, na których pisał swoje notatki, kasetami wideo

i niezliczonymi cienkimi niebieskimi markerami. Po lewej stronie stała jego stara maszyna do pisania, niebieska Smith Corona Galaxie Twelve, która przyjechała zapakowana w czarną walizkę. Na wierzchu leżał stos dzisiejszych gazet, zarówno krajowych, jak i zagranicznych.

Dwa zakrzywione telefony bezprzewodowe, jeden czarny, a drugi szary, stały na swoich bazach po drugiej stronie stołu. W biurze nie było komputerów, żadnych zdjęć, lamp czy obrazów na ścianach. Wisiał tu tylko karykaturalny portret Maksa, wykonany przez ulicznego artystę z Lizbony.

Chociaż byłam ciekawa gościa, wyłączyłam się z ich rozmowy. To było coś, czego uczyłam się przez lata – nie słuchać debat Maksa z innymi ludźmi. A jednak słowa zakradały się do mojego umysłu i pozostawały tam jak nieproszeni goście. Określiłabym to w żartach jako mimowolne zapamiętywanie.

Gość wstał z krzesła, zdjął zieloną kamizelkę i wyjął pistolet ukryty z tyłu. Odwrócił się, by zostawić je na sąsiednim krześle, a wtedy zobaczyłam, że na jego żółtej koszulce widnieją fioletowe inicjały drużyny koszykarskiej Los Angeles Lakers. Mężczyzna usiadł z powrotem, skrzyżował nogi, ale tym razem nic nie mówił, tylko popijał lemoniadę, uważnie słuchając monologu gospodarza.

Nie słyszałam całej przemowy Maksa. Jego słowa zostały zagłuszone przez odgłosy policji z zewnątrz. Tylko pojedyncze zdania wybijały się ponad innymi, zwłaszcza jedno pytanie:

– Jaki jest najłatwiejszy sposób na znalezienie kogoś, gdy go szukasz? Pieniądze. Podążaj za ich pieniędzmi.

W końcu paplanina dochodząca z holu stała się tak głośna, że pomyślałam, że policja musiała skończyć rewidować to miejsce i je opuszcza. Gdy już miałam wymknąć się z kryjóWKi,

ponownie zmartwiło mnie zdanie wypowiedziane przez Maksa:

– Strach i chciwość, zapamiętaj te dwa słowa, bo dzięki nim świat się kręci.

Maks był znany z dzielenia się swoimi mądrościami, ale nigdy nie robił tego z zupełnie obcymi sobie ludźmi podczas pierwszego spotkania.

Wysunęłam się z szafy i wróciłam do holu, zastawionego teraz pudłami wypełnionymi wszystkim, co znalazła policja, a co było zrobione z papieru – jakby tak brzmiały rozkaz oraz uzasadnienie przeszukania. Rozpoznałam błyszczące okładki magazynów mody, książki dla dzieci, różne faktury i paragony, koperty, prywatne dokumenty, raporty medyczne, kalendarze, wyciągi z kart kredytowych, a nawet instrukcje obsługi urzędzeń, notatniki z przepisami kulinarnymi i listy zakupów z kuchni. Spakowali kolorowanki mojego synka i kartki, na których bazgrał planety z raketami i astronautami. Zebrali moje albumy i szkicowniki Mãe.

Wzięli nawet mój dzienniczek szkolny, który był tak naprawdę moim starym pamiętnikiem. Na jego okładkach przykleiłam zdjęcia gwiazd popu i aktorów – tak robiły wtedy nastolatki. Większość fotografii wypłowiła przez lata, chociaż twarze George’a Michaela i Simona Le Bon, a także Matta Dillona nadal wyglądały dobrze. Ten pamiętnik był moim literackim sanktuarium. To w nim zapisałam wszystko, co przyszło mi do głowy: kiepskie wiersze, splątane myśli, podjęte lekko-myślnie decyzje, diety, plany ćwiczeń, porady dotyczące makiżu, ważne daty... Na niektórych stronach napisałam odmianę niemieckich czasowników, a w całym dzienniku można było

znaleźć zapisane niewyraźnym pismem niezliczone numery telefonów, w tym do sklepów i hoteli, a nawet głównych linii lotniczych, które miały biura w centrum miasta. Ich pracownicy byli dla nas nieocenieni, ponieważ zajmowali się wszystkimi naszymi podróżami. Niektóre strony przypominały przewodniki miejskie, z biletami teatralnymi lub muzealnymi przyklejonymi do liter lub rysunków... Notowałam cytaty z powieści i sztuk oraz przysłówia... Zapisywałam wszystkie mądre słowa, które przyszły na myśl komuś innemu i mi się spodobały. „Nigdy nie dźgaj jaguara krótkim kijem” – to było przysłowie z Brazylii...

„Dobra literatura może powstać tylko z czegoś, co jest inne od literatury” – napisał Italo Calvino. Wiele cytatów pochodziło od Madame de Staël: „Miłość jest historią życia kobiety i epizodem w życiu mężczyzny”, a jeszcze więcej było autorstwa Aleksandra Dumasa: „Na wszelkie zło są dwa lekarstwa – czas i cisza”.

Najbardziej ceniłam sobie niekończące się dialogi filmowe, które spisywałam. Jeśli usłyszałam jakąś kwestię lub rozmowę w filmie, który mi się podobał, zapisywałam ją, a następnie modyfikowałam, tworząc własną wersję tekstu. Doskonałą cechą długopisu i papieru jest to, że zapisanych z ich pomocą słów nie można trwale usunąć. Cokolwiek napisałam, zostało na stronie, a nawet jeśli zmieniałam zdanie i przekreślałam jakieś słowo, ono nadal tam było, choć po prostu niewidoczne.

Zdenerwowałam się, widząc, że policja zabiera pamiętnik, ale uznałam, że w tej chwili nie da się z tym nic zrobić.

Wysłam na zewnątrz, żeby zabrać swoje buty. Policjanci zaczęli przenosić pudła z holu do swoich furgonetek. Nie widzieli sensu przeszukiwania biblioteki. Wyczerpująca dla

nich była sama myśl o konieczności poradzenia sobie ze wszystkimi książkami. Innym pomieszczeniem, do którego nie mieli wstępu, było biuro Maksa.

Policjanci szybko zdali sobie sprawę, że nie będą mogli odjechać, dopóki ogłuszający mercedes nie opuści terenu jako pierwszy. A jednak nikt nie był gotów, aby pójść i przyprowadzić jego właściciela. Nie było innego wyjścia, jak po prostu czekać. Policjanci otrzymali rozkaz przejścia podjazdem i stanięcia przy bramie, podczas gdy ich przełożeni poszli do kuchni po napoje i przekąski. W naszym domu wszystko kręciło się wokół kuchni czy – jak nazywała to nasza gospodyni Palmira – *la cocina*. Ta kobieta nie dość, że była niesamowitą kucharką, to jeszcze prowadziła dom w iście wojskowym drylu, nie pozostawiając nam innego wyboru, jak tylko realizować jej polecenia. Trzeba powiedzieć, że policja wykonała swoje zadanie, nie znajdując żadnych dowodów przeciwko Maksowi. Mogliśmy przynajmniej wyrazić naszą wdzięczność poprzez niewyobrażalne ilości jedzenia.

Zaczęłam właśnie wchodzić na górę do mojego pokoju, gdy usłyszałam odgłos łap Balista i pomyślałam, że gość wychodzi od Maksa. Kiedy mężczyzna opuścił dom, pobiegłam do drzwi wejściowych. Przed domem poprosił jednego z policjantów o zapalniczkę, po czym się odwrócił, jakby kogoś szukał. Gdy mnie zobaczył, puścił oko i pomachał mi na pożegnanie. Odmachałam w odpowiedzi. Wtedy mężczyzna ruszył w kierunku swojego samochodu, po drodze mijając dwa ostatnie pudła, które nie zostały jeszcze załadowane. Zerknął na nie. Bez chwili wahania, nie troszcząc się o to, czy ktoś go obserwuje, sięgnął do nich, wyjął coś z jednego z nich, schował pod kurtkę i kilka minut później po prostu odjechał.

Tej samej nocy, gdy wszyscy goście już wyszli, a dom mógł w końcu odetchnąć, Balisto i ja zeszliśmy do kuchni na przekąskę, choć wybiła już północ. Na stole stały świeże maliny i borówki, na blacie prażone migdały, w piekarniku czekały placki kuku-rydziane, a w lodówce ogromne słodkie wiśnie... Palmira piła swoją cierpką wiśniówkę i tasowała karty tarota. Była w naszym domu pierwszą osobą, która się budziła, i ostatnią, która kładła się spać.



Znałam ją całe życie. Zanim zaczęła pracować dla Maksa, Palmira była kucharką w rezydencji ambasadora Argentyny. Maks odwiedzał go często tylko ze względu na sposób, w jaki Palmira przygotowywała owoce morza, zwłaszcza ryby. Kiedy ambasadorzy się zmienili, Maks skorzystał z okazji, by ją podkupić, oferując wyższą pensję oraz całkowitą niezależność w prowadzeniu domu, w tym swobodę w doborze personelu.

Chociaż Palmira mieszkała i pracowała z nami przez ponad trzydzieści lat, stale mówiła po hiszpańsku, sporadycznie wtrącając coś po angielsku.

Była wysoką i szczupłą kobietą o spiczastym nosie i wąskich ustach. Jej najpiękniejszą cechą były długie, kruczoczarne włosy, zawsze splecione w kok i ozdobione spinkami przypominającymi kwiaty maku. Uwielbiała nosić nasze tradycyjne kobiece stroje. Jej codzienny ubiór składał się zazwyczaj z ręcznie tkanej plisowanej spódnicy, czerwonej lub zielonej, białej płóciennej bluzki i *yelek* – krótkiej kamizelki, zwykle wykonanej

z aksamitu, w kolorze bordowym i z ręcznie wyhaftowanymi złotymi motywami: kwiatami, liśćmi lub innymi zdobieniami.

Tak jak niektórzy sprawdzają prognozę pogody na następny dzień, tak Palmira każdego wieczoru przed pójściem spać prosiła karty o wskazówki.



Otworzyłam lodówkę i wzięłam kilka plastrów wędzonej prosciutto z wołowiny. Balisto natychmiast usiadł na podłodze obok mnie, czym potwierdził swój apetyt. Podzieliliśmy się kawałkami mięsa.

Palmira kusiła mnie kartami, prosząc, abym pomyślała życzenie.

– Ale bądź ostrożna – powiedziała. – *Los deseos pueden ser peligrosos, especialmente si se hacen realidad.* Życzenia mogą być niebezpieczne, zwłaszcza jeśli się spełnią.

Balisto ziewnął, a następnie poruszył wąsami, jakby pytając, czy on również może pomyśleć życzenie, co prawdopodobnie wiązałoby się z ponownym otwarciem lodówki. Kiedy Palmira dostrzegła wahanie w moich oczach, po prostu podała mi talię kart do przetasowania.

– Mielśmy dziś interesującego *invitado* – kontynuowała, mając na myśli naszego gościa. – *Es un periodista chileno. Vino a entrevistar al Señor Maksimo.* Był chilijskim dziennikarzem, który przyjechał, żeby przeprowadzić wywiad z Maksem.

Chwaliła się swoimi umiejętnościami dedukcji, czego nie można lekceważyć, biorąc pod uwagę fakt, że Palmira była

w naszym domu najlepszym szpiegiem amatorem, który potrafił równie sprawnie wydobyć informacje zarówno od nieznanego policjanta, jak i od jednego z naszych pracowników.

Miałam jednak problem z jej oceną sytuacji, ponieważ (a) mój ojciec nigdy nie rozmawiał z dziennikarzami, bez względu na to, skąd pochodzili, i (b) dlaczego domniemany reporter przybył w tym samym czasie co policja?

Położyłam talię kart na stole, nie wierząc specjalnie we wróżbiarskie zdolności Palmiry. Mimo to pomyślałam życzenie – chciałam znów zobaczyć *chileno*. Lewą ręką podzieliłam talię na dwie części i ponownie ją złożyłam, a następnie rozłożyłam karty na stole w linii prostej, wskazałam jedną palcem i ją obróciłam.

– *El Loco* – stwierdziła Palmira, unosząc kieliszek. – Głupiec. Oznacza to, że przeżyjesz z kimś nową niespodziewaną przygodę.

Ale kim jest ów głupiec? – zastanawiałam się.